I ROK ZESZYT II

MŁODOŚĆ

Czasopismo akademickie
Założone w setną rocznicę urodzin
Adama Mickiewicza

STYCZEŃ 1899

KRAKÓW—LWÓW

TREŚĆ:

MŁODOŚĆ

PRENUMERATA kwartalnie: w Krakowie 80 ct., na prowincyi 85 ct., za granicą 1 mk. 50 pf., 2 fr., 80 kop.

REDAKCYA: Kraków, Floryańska 34 — FILIA: Lwów, Łyczakowska 21 -
ADMINISTRACYA: Kraków Księgarnia K. Wojnara i Sp.

WOJCIECH
WEISS
„MŁODOŚĆ“



O serwilizmie młodzieży.

Jest cały szereg występków, na które społeczeństwo zarzuca dyskretnie zasłonę. O występkach jednostek mówi się głośno, publicznie, z oburzeniem. O występkach społeczeństwa, o serwilizmie małych, prywacie wielkich, kłamstwie jednych i drugich nie mówi się zupełnie lub mówi się cicho, w cztery oczy, z palcem na ustach. Czasami wrzód jest za wielki i zasłona pęka. Wtedy ciekawy mógłby poczynić zajmujące odkrycia. Ale w tych razach ciekawych niema. Jedni w ogóle nie są ciekawi. Drudzy, chorzy, nie chcą, aby o ich chorobie wiedziano. Inni nie chcą narażać sobie chorych. Inni nie chcą walać rąk albo nie wierzą w uleczenie i uważają »rozdrapywanie« wrzodów za bezcelowe.

Zaszło jednak coś nieprzewidzianego. Znalazł się człowiek, który przyjrzał się jednemu z tych wrzodów, przeraził się i zawołał publicznie, że dzisiejsza młodzież jest serwilistyczna. Rzucił to w twarz społeczeństwu, postawił młodzież pod straszliwy pręgierz i nic. Ktoś drugi krzyknął, że »zgubiono młodzież«, poczem powoli przyjaciele zaczęli zaciągać zasłonę... Czekało się, czy po tych okropnych krzykach młodzież nie drgnie jednym z tych konwulsyjnych ruchów, którym chory okazuje, że go boli. Ale młodzież się nie ruszyła. Widocznie jest to jedna z tych chorób, których się już nie czuje.

A przecież zarzut serwilizmu jest straszny i wobec niego nikną wszystkie zarzuty, które młodzieży kiedykolwiek czyniono, zarzuty lekkomyślności, słomianych zapałów, i bardzo ciężki, marnowania sił. Tamto wszystko było młode. Ale tu zarzucono nam coś ohydnego, obrzydliwego swoją starością i doświadczeniem, dobrowolne niewolnictwo dla zysku! Stwierdzono to oficyalnie, wypisano nam na czołach »młodzież serwilistyczna«. Nikt nie powstał, nikt nie odpowiedział, bo zresztą, cóżby odpowiedział? Za lat pięćdziesiąt, kiedy my, dzisiejsi młodzi ludzie, zgięci, brudni i sponiewierani przewleczemy się przez życie, pokolenia, daj Boże, lepsze od nas, będą na nas patrzyły jak na osobliwość i będą się pytały: »To wy jesteście z tej młodzieży, której zarzucono serwilizm?«.

Można o wszystkiem, co boli, nie myśleć, wytworzyć w sobie okres znieczulenia i wtedy przynajmniej tyle dobrego, że nic nie boli. Ale przychodzą chwile, w których to wszystko, o czem się nie myślało lub nie chciało myśleć, wychodzi z cieniów i wtedy przez jedną chwilę cierpi się za całe lata sztucznego spokoju. W takiej chwili, kiedy zobaczy się ten przerażający kontrast mię-

dzy pojęciem »młody« i pojęciem »serwilista«, nie chce się wierzyć, że te dwa pojęcia zestawiono publicznie, że zestawione dały przeciętny typ naszej młodzieży i że wobec tego naszemu społeczeństwu zostały dwie ewentualności, obydwie okropne dla nas: albo omawiać złe, omawiać je prywatnie i publicznie, w domu, w szkole, w prasie, nie oszczędzać nikogo, smagać młodzież do krwi za jej spodlenie się i tak zrobiłoby społeczeństwo prawdziwie inteligentne i moralne, które w swoim organizmie nie uznaje chorób »dyskretnych«, tylko niebezpieczne; albo zrobić, jak zrobiło nasze społeczeństwo, przerazić się przepaści, przed którą się stanęło, zatkać uszy i milczeć. Ale po słowach, które padły podczas ankiety lwowskiej, nieznajomość stanu rzeczy nie będzie dostateczną wymówką. Fakt, że można było nietylko wskazać publicznie, ale uogólnić ten właśnie występek, jeden z najdrażliwszych i najtroskliwiej ukrywanych, świadczy, że musi być źle. Pod wrażeniem jakiegoś gwałtownego poruszenia się młodzieży, jakiejś manifestacyi, która na chwilę oślepi i ogłuszy, można zawyrokować, nieraz lekkomyślnie, że młodzież jest energiczna i przedsiębiorcza lub że jest lekkomyślna i nieopatrzna. Ale musiały przejść lata, musiano złamać tylu ludzi, którzy ośmielali się przyznawać głośno do swoich przekonań, że ich brakło wreszcie zupełnie, za to na wybitnych stanowiskach musiały ukazywać się coraz częściej karykatury, o które się pytano: »Jakim sposobem ten człowiek tam doszedł?« — jednem słowem, musiała wytworzyć się cała atmosfera brudu, płaszczenia się, kłamstwa i karyerowiczowstwa, zanim ktoś mógł dojść do wniosku, że młodzież jest serwilistyczna. Społeczeństwo powinno było podtrzymać ten głos jednostki, uznać, że zmarnowanie młodzieży jest ogromnem nieszczęściem, że to nieszczęście w jednem pokoleniu jest już faktem dokonanym i że dzisiaj niema dla nas większego zadania nad podniesienie etycznego poziomu młodzieży. Trzeba było kwestyę serwilizmu młodzieży uczynić kwestyą dnia, nie dopuścić, aby uległa »przedawnieniu«, mówić o niej wszędzie, gdzie się zbierze kilkudziesięciu ludzi, i zrozumieć, że o tej kwestyi nigdy nie będzie się mówiło za wiele. Tymczasem nic z tego nie zrobiono. Nie rzucono wprawdzie kamieniem na człowieka, który ośmielił się tę kwestyę poruszyć, i to było dowodem pewnej uczciwości, a może znowu braku zainteresowania; za to chwycono się rozpaczliwej taktyki przemilczenia. Wobec tego ręce opadają. Zabierać jeszcze raz głos w tej sprawie, jest to walić głową o mur. Chyba iż uzna się, że lepiej rozwalić głowę niż nosić ją tak napiętnowaną! Ta dotychczasowa »serwilistyczna« komedya ma jedną dobrą stronę: młodzież mogła się przekonać,

że jeżeli do dzisiejszego jej stanu przyczyniło się oprócz niej wielu innych, to w pracy nad uleczeniem może liczyć tylko na siebie.

Więc przedewszystkiem, jeżeli ma się jeszcze nadzieję zdziałania czegoś w tej mierze, musi się zacząć od zbadania przyczyn złego, poruszyć kwestye najdrażliwsze i z góry przygotować się na wszystkie konsekwencye swego postępowania. Musi się postawić pytanie, kto sprawił tyle złego i na kogo spada za nie odpowiedzialność? Odpowiedź wydaje się łatwa: na młodzież. Na młodzież, która dla zrobienia karyery zatraciła pojęcie o tem, że cel nie uświęca środków i że środki, któremi ona się posługuje, są nieuczciwe. Co do tej odpowiedzi objawi się niezwykła zgodność u ludzi, którzy nie należą do młodzieży. Będzie w niej górował przedewszystkiem głos tych, którzy mają dosyć inteligencyi, aby widzieć swą winę, a nie dosyć sumienności, aby się do niej przyznać. Zrzucą z siebie odpowiedzialność z tem lżejszem sumieniem, że »tamtym już i tak nie zaszkodzą« i co do tego mają słuszność. Tej młodzieży, której zarzucono serwilizm, nie wiele już co może zaszkodzić i gdyby o nią tylko chodziło, nie byłoby nawet warto dowodzić, że czyniąc ją wyłącznie odpowiedzialną za dzisiejszy stan młodzieży popełnia się niesprawiedliwość. Ale ponieważ idzie o to, aby zarzut serwilizmu nie szedł dziedzicznie pokoleniami, ponieważ, jak powiada Mill, »nie można ani zapobiegać ani leczyć chorób społecznych, jeżeli się o nich nie mówi otwarcie« — musi się pociągnąć do odpowiedzialności tych wszystkich, na których nic jeszcze nie cięży i którzy mają wiele do stracenia i stwierdzić, że młodzież jest winna, ale nietylko młodzież. Z młodzieży nikt winy zwalić nie może. Serwilizm zarzucono nie społeczeństwu, ale młodzieży, jakgdyby chciano zaznaczyć, że serwilizm u człowieka, którego już życie złamało i który nie umie iść o własnych siłach, jest czemś bardzo smutnem, ale serwilizm u młodego, przed którym świat stoi, serwilizm przewidujący na lata, fałszem, zginaniem się, pochlebstwem ścielący sobie przyszłość jest zwyrodnieniem. Ale ta sama sprawiedliwość, która każe stwierdzić, że młodzież powinna oprzeć się każdej presyi, każe również stwierdzić, że taka presya istnieje. Mówić o tem w naszych stosunkach jest bardzo niebezpiecznie, ale »nie można leczyć chorób społecznych, jeżeli się o nich nie mówi otwarcie«. Nie uznawać winnych prócz młodzieży jestto popełniać ten sam błąd, co starać się zupełnie ją uniewinnić. Argument, że nie społeczeństwo nauczyło młodzież, iż serwilizmem dochodzi się tam, gdzieby się nie doszło nigdy rzeczywistą zasługą, ale przeciwnie, młodzież »przyszła gorsza na świat« i korrumpuje społeczeństwo, jest nieco śmie-

szny i przeciw niemu są dowody. Dzisiejszy stan młodzieży nie jest czemś przemijającem, co potrwa dwa, trzy lata i przejdzie z wymarciem tego jednego pokolenia, które »przyszło gorsze na świat«, ale chorobą, która w następstwie długoletniej polityki względem młodzieży głęboko się zakorzeniła. Ta polityka znalazła dla siebie odpowiedni frazes. W młodzież »wpaja się poczucie obowiązku«. »Wpajanie« jest charakterystyczne i zaznacza się tem, że w młodzieży tłumi się każdy objaw młodzieńczości, że łamie się jej przyszłość za każde wykroczenie z ram ciasnego programu, który jej »z góry« narzucono, za każde dążenie do samodzielności i każde śmiałe wypowiedzenie przekonania, które nie jest przekonaniem kół mających bezpośredni wpływ na młodzież. Gdybyśmy tylko mieli lepszą pamięć w rzeczach, które nas najbardziej powinny obchodzić, naczerpalibyśmy przykładów pełnemi rękami.

Przypomnielibyśmy sobie, że temu dziesięć lat był inny ruch i inne życie wśród młodzieży. Wtedy młodzież o różnych programach społecznych złączyła się wspólną myślą pracy nad ludem i skupiła się w jednem towarzystwie i koło jednego pisma akademickiego. W tej młodzieży, która bez żadnego wpływu z zewnątrz podjęła ideę pracy organicznej, był cudowny materyał. Można wtedy było dać społeczeństwu pokolenie, które nie byłoby doprowadziło do tego, aby dziś młodzież szła w świat »bez wiary w ludzi«. Należało tylko serdecznie, gorąco podać rękę młodzieży. Zamiast tego rozpoczęto prześladowanie, które swojemi rozmiarami zasłużyło na osobną kartę w historyi prześladowań młodzieży. Pismo zamknięto; towarzystwo rozwiązano; trzech najwybitniejszych studentów, którym powszechnie przyznawano zupełną nieskazitelność charakteru, relegowano z uniwersytetu za ich przekonania; młodzież, zebraną w restauracyi na wiec, którego uchwały miały wypaść na niekorzyść prześladujących, wojsko zmasakrowało bagnetami; kilku wypędzono za przekonania z domu, kilkunastu za przekonania wytoczono publiczny proces. O samo przez się zrozumiałem »przypominaniu się« wszystkim» źle zapisanym« przy egzaminach nie warto wspominać, jako o czemś stale do dzisiaj praktykowanem. Zgnieciono wielki ruch społeczny, skrzywdzono kilkudziesięciu ludzi za to, że młodzież nie chciała poddać swej działalności pod przygniatające kuratorstwo senatu. Dzisiaj, po dziesięciu latach nieprzerwanego kuratorstwa i dziesięcioletniej zgodzie młodzieży z senatem, kiedy reprezentant młodzieży wypowiada na wieczorku mickiewiczowskim ocenzurowaną mowę, J. E. radca tajny i hrabia może mu przeciągle, ostentacyjnie bić brawo. Za ten oklask, a innym

razem, za protekcyonalne poklepanie po ramieniu młodzież zapłaciła serwilizmem. Ale o przepłaceniu niema mowy.

Przypomnijmy sobie dalej te tysiące wypadków, które codziennie obijają nam się o uszy, takich drobnych, takich zwykłych wypadków, że wreszcie przestaje się na nie zwracać uwagę. Przypomnijmy sobie, że na naszych uniwersytetach ludzie tylko pewnych przekonań otrzymują stypendya i asystentury w myśl nakazu, »aby przy nadawaniu stypendyów i obsadzaniu asystentur uwzględniać nietylko uzdolnienie kandydata, ale także jego stanowisko jako obywatela kraju«. Przypomnijmy sobie tych wszystkich, których dla ich przekonań pędzi się z jednego uniwersytetu na drugi i tych wszystkich, którzy po opuszczeniu uniwersytetu kołatają napróżno do drzwi różnych instytucyj, gdzie im się odpowiada: »Pan miałeś na uniwersytecie zanadto radykalne przekonania«. Przypomnijmy sobie, ile to razy młodzież cofa się »z obawy przed egzaminami« od zajęcia pewnego stanowiska w jednej lub drugiej kwestyi; i ile razy nasi rodzice zaklinają nas na wszystko, abyśmy w tym lub tamtym wypadku nie mówili prawdy, bo »złamiemy sobie życie!« Przypomnijmy sobie to zdumienie, z jakiem patrzyliśmy pierwszy raz na człowieka, który mówił niebezpieczną prawdę, te szamotania się z sobą samym, z rodziną, ze społeczeństwem, zanim sami się na to zdobyliśmy — a musimy dojść do wniosku, że jest presya, że ta presya jest niebezpieczniejsza od presyi z pod innych zaborów, bo tu ją wykonują »nasi« dla »naszego« dobra i że od tej presyi do serwilizmu jest tylko jeden krok. Jeden krok od tego, ażeby karać za przekonania, które się nie podobają, do tego, ażeby nagradzać za takie, które się podobają; i jeden krok od tego, ażeby dla zysku ukrywać prawdziwe przekonanie, do tego, ażeby dla zysku symulować przekonanie.

Ale pomimo iż udowodni się, że nie cała wina spada na młodzież, tem samem się jej ani nie uniewinnia ani nawet nie usprawiedliwia. Serwilizm, który wymaga systematycznego płaszczenia się i kłamania, a w wielu wypadkach denuncyacyi i odstępstwa, będzie zawsze dowodem, że w jednem pokoleniu naszej młodzieży nie było charakteru. Dzisiaj, rzeczą będzie tej młodzieży, której zarzucono serwilizm, aby przynajmniej kiedyś nie uczyła serwilizmu drugich; a już rzeczą tych drugich będzie wyrzucać ze swego grona serwilistów. Należy tylko dodać, że niema presyi, która mogłaby młodzież z m u s i ć do serwilizmu. Jak nie było presyi, która przed dziesięciu laty mogłaby zmusić kilku ludzi do uczęszczania »na herbatę« u człowieka, który prześladował młodzież za jej przekonania; ani presyi, która niedawno temu mogłaby zmusić ogół

młodzieży do składania dowodów czci temu samemu człowiekowi; tak niema i nie będzie presyi, której młodzicż nie mogłaby przeciwstawić jeżeli już nie odporności »młodych« — a w tem słowie chciałbym umieścić wszystko, co w niem kiedykolwiek umieszczono — to przynajmniej odporność uczciwych ludzi!

W. Rogosz.



Z cyklu „Lacrimae amarae".

W noc białą, w cichą noc Twe oczy
Na tęsknot moich ugor szary
Przywodzą wspomnień smutne mary
Twe oczy pełne łez... Twe oczy...

W noc białą, w cichą noc Twe oczy
Jak widma łzawe idą ze mną
W mistycznych wizyj łąkę ciemną
Twe oczy pełne łez... Twe oczy.

W noc białą, w cichą noc Twe oczy
Nad duszą moją roztęsknioną
Jak gwiazdy blade, smutne płoną
Twe oczy pełne łez... Twe oczy...

W noc białą, w cichą noc Twe oczy
Nad nędzą moją i rozpaczą
Dużemi łzami płaczą.., płaczą
Twe oczy pełne łez... Twe oczy...

Edmund Bieder.

Młodzież a społeczeństwo.

I.

Jednym z czynników, który wpłynął zasadniczo na zmianę stosunków społecznych w XIX wieku, a mało dotychczas uwzględnianym, było zastosowanie nauk ścisłych do badania zjawisk społecznych, i wpływ nauk społecznych na ukształtowanie społeczeństwa. Obok przeistoczenia się walk stanowych na klasowe znamionuje ów przejaw głównie ustrój społeczny dzisiejszy i tendencyę jego rozwoju.

Cechy charakteryzujące zwycięstwo tego nowego stanu rzeczy, a z drugiej strony przeżytki dawnego, jeszcze bujnie rozpanoszone na ciele społecznem — stanowią kontrasty napotykane w naszem społeczeństwie częściej i bardziej rażąco niż u innych. Widzimy rozpaczliwe bronienie przez warstwy pewne stanowisk, które niemożliwe są do uratowania; partye pewne, korzystając z chwilowego dogodnego położenia, zaprowadzają reformy, których szkodliwość i nieracyonalność dowiedzioną została, dla korzyści jednostek poświęca się dobro ogólne, a wszystko to hamuje postępową ewolucyę społeczeństwa i tworzy chorobliwe, anormalne stosunki, właściwe naszemu krajowi.

Młodzież uważa za swój obowiązek wskazywanie na potrzebę tępienia owych organów szczątkowych i zabiera się sama do karczowania tych pamiątek historycznych, nie krępując się tradycyą, tem świętszą i zapalczywiej bronioną, że złączoną z ekonomicznemi korzyściami pewnych grup. Zwycięstwo idei demokratycznej otworzyło przybytki wiedzy szerokim masom młodzieży, która nie czuje najmniejszego powołania w sobie przykrawywania, jak to czynili dawniejsi uczeni, zdobyczy wiedzy wedle woli i na korzyść panujących sfer.

W gwałtownym naszym krytycznym rozpędzie — starają się nas zatrzymać i zmoderować starsi. W długich perorach próbują nas przekonać o szkodliwości naszego postępowania, dla społeczeństwa i dla nas samych, starają się dowieść, »że wszystko to do czego zmierzamy, nie do nas należy, nie wchodzi w zakres naszej kompetencyi, że nie mamy doświadczenia, które jest jedynym racyonalnym kierownikiem, zarówno w życiu jednostki, jak i całych społeczeństw«.

Nie mogą zrozumieć powodów, dla których ustąpić nie chcemy, mimo, że po łagodnych dowodach oratorskich o szkodliwości naszego postępowania, wytaczają działa cięższego kalibru: rygowanie

z uniwersytetu, palenie przy egzaminach, nie jako skutki naszej nie-wiedzy, lecz jako bezpośredni wypływ »zajmowania się polityką«. Nie mogą sobie wytłómaczyć zapalczywości, z jaką bronimy swojego stanowiska. Możemy im dopomódz: Jesteśmy synami pokolenia, które pierwsze potrafiło z życia społecznego wyciągnąć prawdy niem kierujące i które wyniki tych prawd w praktyce zastosować usiłowało. Jesteśmy pierwszem pokoleniem młodzieży, które pracą własną musiało zdobywać każdy kęs nauki.

Nie przypisujemy prawdom, do których doszła młoda nauka o społeczeństwie ludzkiem, bezwzględnej wartości, lecz to, co nam z niej bez obawy pomyłki czerpać wolno, potwierdza słuszność naszych domagań.

Dawniej jedynym kierownikiem biorących udział w życiu społecznem było doświadczenie; zawodowe wykształcenie w powolnej i długotrwałej ewolucyi uzyskało przewagę nad sprawowaniem czynności administracyjnych lub sądowych przez jednostki, jedynie z tytułu należenia do pewnego stanu. Nim się można było zabrać do krytyki lub do reform społecznych, trzeba było wówczas koniecznie długiego doświadczenia osobistego, a młodzież doświadczenia takiego mieć nie mogła. Przystosowanie nauk ścisłych do życia społecznego przesunęło dotychczasowy stan rzeczy i zmieniło stosunek młodzieży do kwestyi społecznych.

Nauka o społeczeństwie zastąpiła doświadczenie jednostkowe, a że prawdy nauk społecznych niczem innem, jak przeciętną szeregu możliwie objektywnych doświadczeń, młodzież oddająca się tym naukom, uzyskuje kryteryum mierzenia obecnych stosunków miarą doświadczeń, wprawdzie nie swoich, lecz za to dokładniejszych i zgodniejszych z prawdą, niż te, które jaknajzdolniejsza jednostka w przeciągu swego życia zdobyć może.

Nad możliwością wykonania, korzyścią, znaczeniem pewnych postulatów lub rozporządzeń naukowo dyskutować można, i w tem to młodzież akademicka znajduje potwierdzenie słuszności swych domagań, by jej, jako kształcącej się naukowo, dozwolonem było zajmować się sprawami społecznemi.

Ale dzisiejsza młodzież posiada także rozległe i własne doświadczenie życiowe. Nabytek praw społecznych musi być uzasadniony czynną rolą grupy uprawnionej w życiu społeczeństwa, powinien także iść w parze z ofiarami, ponoszonemi na ogólne cele społeczne. »Jesteśmy pierwszem pokoleniem młodzieży, które pracą własną wywalczyło sobie każdy kęs nauki...« Wówczas, gdy młodzież w ciszy burs lub internatów oddawała się studyom, wolna od trosk o chleb codzienny, odłączona przez długie lata od

życia społeczeństwa, od życia własnej rodziny, gdy po opuszczeniu zakładów naukowych wchodziła w życie bez realnego poglądu na świat, przepełniona fantastycznymi, jak najfałszywszymi obrazami o roli i o zadaniach, które ją czekają, słuszność mieli ci, którzy mówili o »niedoświadczeniu« młodzieży i odwodzili ją od czynnego zajmowania się kwestyami społecznemi.

Jednak życie dzisiejszej młodzieży ściśle zespolonem jest z życiem całego społeczeństwa. Młody, od lat swych dziecięcych, odczuwa na sobie wszelkie odruchy życia społecznego po przez tę grupę, z którą go najściślejsze łączą węzły — rodzinę. Położenie rodziny materyalne i społeczne wpływa na kierunek jego rozwoju, wytwarza jego charakter i ogranicza z góry zakres, w którym jego działalność objawić się może. Większa część młodzieży akademickiej, pochodząc ze sfer niezamożnych, zmuszoną była przez lata uniwersyteckie, a często i gimnazyalne, utrzymywać się własną pracą; a rodzaj pracy, której zmuszoną była się chwycić, udzielanie lekcyi lub pisarka po kancelaryach i urzędach, przyczynia się do szybkiego »dojrzewania« młodzieży, wytwarza doświadczenie życiowe.

Chcieliśmy teoretycznie uzasadnić prawo i zdolność dzisiejszej młodzieży do zajmowania się sprawami tyczącemi się społeczeństwa, teraz musimy się zastanowić nad tem, w jaki sposób i w jakim zakresie młodzież może jak najkorzystniej dla siebie i dla ogółu zadania tego dokonać.

(D. c. n.). L. B. K.

Przedmiot dynamiki społecznej.

(Ciąg dalszy).

Statyka społeczna wykazuje trzy główne uogólnienia (typy) kształtów rozwojowych ustrojowości i budownictwa społecznego: rodzinę i odpowiadające jej albo grecki dom, albo rzymską familię, ród i połączoną z nim gminę, wreszcie naród i mające służyć ku jego potrzebom, państwo. O federacyjnym związku narodów i państw nie mówię, ponieważ odbywający się w tym kierunku proces nie doprowadził jeszcze do wyraźnie rysujących się kształtów. Badania, czy to odbywające się na polu dziejopisarstwa, jak Fustel'a de Coulanges, czy też na polu etnologicznem, jak Sumner Maine'a, ugruntowują to przekonanie, że trzy te uogólnione kształty były także najważniejszymi szczeblami w rozwoju życia społecznego. „Społeczeństwo ludzkie tego szczepu (Rzymianie i Grecy) — powiada Fustel de Coulanges — nie wzrastało w sposób kołowy, rozszerzając się coraz bardziej, w miarę posuwania się naprzód. Przeciwnie, małe grupy, zorganizowane oddawna, łączyły się jedne z drugiemi. Pewna liczba rodzin sformowała bractwo (fratryą), pewna liczba fratryj — plemię, pewna liczba plemion — państwo *(la cité)*. Familia, fratrya, plemię, organizacya polityczna — są zresztą społeczeństwami podobnemi w zupełności jedno do drugiego, które wytworzyły się jedno z drugiego w szeregu federacyjnym.[1]) „Grupą elementarną — mówi Sumner Maine — jest familia, połączona przez władzę najstarszego rodzica z mężczyzn. Połączenie familij tworzy ród albo dom. Połączenie domów stanowi plemię. Połączenie plemion tworzy rzeczpospolitą.[2]) Obaj ci więc pisarze, opierają się na poznaniu faktów, przyjmują, że rozwój społeczeństwa odbywał się szczeblowo, przyczem więcej złożone powstawały z prostszych, i że rodzina czy też familia była początkową formą społeczną.

Do tego samego przekonania dojść musimy, wychodząc ze stanowiska organologicznego. Zaznaczyłem już, że komórka pierwoszczowa nie o przenośnem, ale w rzeczywistem znaczeniu jest punktem, od którego rozpoczyna się świat roślinny i zwierzęcy, zarówno w życiu swojem osobnikowem i społecznem.[3]) Łączenie się, zespalanie komórek jest podstawą

---

[1]) Str. 143. *La Cité Antique par Fustel de Coulanges 9ème edition. Paris, 1881.* W tłómaczeniu powyższego ustępu raz na oddanie wyrazu francuskiego *„famille“* używam wyrazu polskiego „rodzina“, drugi raz — „familia“, tak samo wyraz *„cité“*, raz spolszczam przez państwo. drugi raz przez organizacyę polityczną, dlatego, że w pierwszym wypadku autor nie wyróżnia rodziny i familii, w drugim zaś wypadku *„cité“* nie oznacza ściśle tego, co zwykle rozumiemy pod nazwą państwa (*état*).

[2]) Francuskie tłómaczenie: *Henri Sumner Maine — Etudes sur l'ancien droit et la coutume primitive* (*Paris, 1884*) Str. 291..

[3]) Biopsychika i Socyologia („Ateneum“), Warszawa, grudzień 1894).

tworzenia się organizmów osobnikowych. Proces łączenia przejawia się w dalszym ciągu i pomiędzy osobnikami. Z tego łączenia się powstaje nowa komórka społeczna, którą jest rodzina. Jądrem jej jest matka otoczona dziećmi. Ojciec w składzie tej rodziny przez długi czas przemijające ma tylko znaczenie. Taką jest rodzina u kręgowców, nie wyłączając małp; taką ona była — podług wszelkiego prawdopodobieństwa — w pierwotnym okresie ludzkości. Takie pojedyncze rodziny napotykają się nie tylko w świecie zwierzęcym, ale także i w świecie ludzkim na najniższych szczeblach uspołecznienia.

W świecie już zwierzęcym widzimy, że rodziny takie, wyłaniając się jedna z drugiej, żyją obok siebie, jeżeli nie napotykają jakich ważnych przeszkód, i tworzą stado. Tak się dzieje u małp.[1]) To samo spostrzegamy i u ludzi. W tym wypadku stado nazywa się hordą. Stada małpie przedstawiają już pewną organizacyę. W jeszcze wyższym stopniu posiadać ją muszą hordy ludzkie, ponieważ umysłowość ludzka wyżej jest rozwinięta od małpiej, skutkiem bardziej wydoskonalonej mowy, o czem zresztą świadczy spostrzegana już na najniższych szczeblach większa rozmaitość środków i sposobów zdobywania żywności.

Hordy ludzkie niewątpliwie musiały ulegać ewolucyi. Jedną z najgłówniejszych tego przyczyn, a może najgłówniejszą, było gromadzenie zasobu ekonomicznego, czyli — wyrażając się słowami Lilienfelda i Schäffle'go — wzrost tkanki międzykomórkowej. Wraz z nagromadzeniem zasobu wytwarzało się pojęcie własności, i powstawała potrzeba należytego onej uregulowania. Aczkolwiek nagromadzony zasób musiał początkowo być własnością całej hordy, co łatwiej możemy sobie wyobrazić, aniżeli stan przeciwny, i co w pewnej mierze potwierdza to, co widzimy w świecie zwierzęcym (u mrówek, pszczół i bobrów), to jednak niektóre rzeczy, pozostając w nieustannem używaniu oddzielnych osób, stawały się niejako ich własnością. Jeżeli te przedmioty należały do matki, to służyły one także i dla użytku dzieci, a po śmierci jej, pozostawały i nadal w ich posiadaniu. W ten sposób możemy wyobrazić sobie powstanie obyczaju dziedziczenia. Jakikolwiek byłby jednak początek dziedziczenia, to w każdym razie sposób, w jaki się odbywało w pierwotnych czasach, przedstawia najgłówniejszy dowód, że pierwotnie rodzina miała charakter macierzyński, albowiem odziedziczano po matce i braciach matki, czyli wujach. Macierzyńskie rodziny istnieją jeszcze dzisiaj u dzikich ludów.

(C. d. n.) Bolesław Limanowski.

---

[1]) Szczególniej o tem mówię w rozdziale: Biologia i Socyologia.

NA TYM PADOLE PŁACZU.*)

— Ale pozwolisz mi prędko, prędko przyjechać do Ciebie — tkliwie zawiesiła mu się na szyi.

— Ależ z pewnością za dwa, trzy tygodnie, napiszę po Ciebie, a potem...

Przycisnęli się do siebie w długim, gorącym uścisku. Wziął jej głowę w swoje ręce i pieścił się z jej włosami.

— Tak nieskończenie jestem ci wdzięczny. Nigdy nie wierzyłem w miłość, teraz po raz pierwszy wiem, że jestem kochany, że niema ofiary, którejbyś ponieść dla mnie nie zdołała.

Przyciągnął ją do siebie.

— Nie będę nigdy nic od ciebie żądał, ale wierzę, wiem, że wszystko możesz dla mnie zrobić, — wszystko...

— Najcięższą ofiarę, rzekła cicho — niema nic na świecie, czegobym dla ciebie nie poświęciła... Zażądaj tylko, szczęściem, rozkoszą mi będzie, duszę, wszystko ci oddać...

Całował ją długo po czole, po oczach, po włosach.

— Teraz jestem szczęśliwy, rzekł po chwili, całkiem szczęśliwy, jestem, jakbym się odrodził, tak się czuję silnym i młodym.

Zapromieniła radością.

— I ja czuję, jak odmłodniałeś. Gdym cię pierwszy raz ujrzała, szedłeś zgarbiony, a usta kurczył ci co chwilę brzydki, chorobliwy uśmiech. Potem spostrzegłam, że ciało twoje stawało się dumniejsze i pewniejsze i gdy pewnego dnia szedłeś przez ulicę — nie widziałeś mnie, ale ja szłam pełna szczęścia i podziwu za tobą — szedłeś z głową dumnie wzniesioną, jak król szedłeś między ludźmi... I to ja — ja to zrobiłam?

— Tak, ty, ty...

Wziął jej ręce i całował je gorąco z niemą wdzięcznością.

Nagle porwała się z miejsca.

---

*) Po za umieszczaniem prac, tyczących się ściśle życia młodzieży akademickiej, jako istotną treścią naszych usiłowań, pragniemy w miarę możności zaznajamiać naszych czytelników z najcelniejszymi utworami literatury wszechświatowej. Zaczynamy od nieznanej pracy Stanisława Przybyszewskiego.

— Mój Boże! o mało, że nie zapomniałam. Muszę ci przecież pokazać moje skarby. Zaczęła szukać kluczy.

Wyjęła z szuflady puzderko i zaczęła wydobywać z niego jeden skarb po drugim: ciężki złoty łańcuch z wielkimi ametystami, parę kosztownych, starożytnych pierścieni i szpilki brylantowe.

To było całe jej dziedzictwo. Jedyna własność, którą uratować zdołała. — To jedyna rzecz, którą kocham po za tobą, chowam te klejnoty, nie będę ich nosiła, póki do ciebie nie przyjadę, wtedy dopiero w pierwszy zaraz wieczór ustroję się w nie do ciężkiej sukni jedwabnej, aby ciebie uczcić, ciebie. — Patrzaj tylko, patrz — czy to nie wspaniałość. Włożyła łańcuch na szyję.

Posmutniał. Nie wiedział czemu, ale tak naraz przykro mu się zrobiło. Przeszło mu chmurą przez głowę, jaki on biedny, jak ciężko będzie musiał pracować. Ale dla niej! o tak!

— Widziałeś coś równie pięknego? pytała zachwycona swoim skarbem...

— Nie zdejmuj go przez cały wieczór.

Wziął mechanicznie pierścienie do rąk.

— Nie, nie ametysty przynoszą nieszczęście przed rozstaniem...

Wieczór zapadł, ściemniło się. Powietrze w pokoju było miękie jak barwy nieba o zmroku, łagodne, jak jasny jedwab jej włosów, jak błogie przeczucie bezimiennego szczęścia, które spłynąć na nich miało.

Szedł ulicą. Było parno, głowa ciężyła mu. Był też jakiś smutny i niespokojny...

Dla czego właściwie było jej mówić, że dopiero za miesiąc się połączą. Toż nie potrzeba było więcej nad trzy dni...

Ale nie, chwilę szczęścia trzeba odkładać. Musiał skupić wszystkie siły swojej tęsknoty, musiał ból oddalenia wypić aż do dna, aby módz to wielkie szczęście spotkania się na nowo tysiąckrotnie odczuwać.

Musi je odczuć jak nagły strach, jak coś co przeraża i obezwładnia, musi go ono zaskoczyć tak gwałtownie, że będzie całych godzin potrzebował, by pokonać ten wirujący zatór szczęścia.

Stoi na peronie dworca i czeka. Pociąg nadjeżdża, serce bije, jakby pęknąć chciało.

Leci drżąc od wagonu do wagonu, ale pociąg jest niezmiernie długi a gąszcz ludzi nieprzedarty. Nie widzi jej, ale czuje ją, owiewa go powietrze, jakiem tchnie jej postać, pełna wdzięku i piękności, oddycha wonią, która od niej tylko, od niej jednej bije Teraz ją ujrzał: jedno przelotne dotknięcie, jedno przelotne spojrzenie... Idą obok siebie, nie mówią słowa, nie patrzą na siebie, ale nie widzą ludzi, nie czują ścisku, nie czują, że są potrąceni i popychani — nie słyszą wrzasku i przeraźliwego świstu lokomotywy. Na dwo-

rze przed dworcem naprzód jedno spojrzenie, krótkie, chciwe, wstydliwe, a potem cały szereg spojrzeń i za każdem drżący, pełny błogości uśmiech... Tuż naprzeciw kawiarnia: Teraz dopiero splotą się ich źrenice, wrosną w siebie... chwycą się za ręce...

Oddychał ciężko.

...A w jakiż nowy sposób objawi mu się ta drobna jej twarzyczka, na jakąż głos jej nową nieprzeczuwaną muzyką rozhula się po jego nerwach, jakiemi nieznanemi rytmy te faliste jej ruchy spływać będą w olśnione jego oczy...

Wszedł do mieszkania przyjaciela, na którego liczył z całem zaufaniem. Zżyli się przecież od dziecka, byli jak braćmi, przyjaciel miał mu wiele, wiele do zawdzięczenia.

Ale to już nie był ten sam serdeczny stosunek. Czuł się skrępowany — nieśmiały. Drogi, na których się zwykle spotykali, dziwnie się rozchodziły, każdy krok naprzód oddalał ich coraz bardziej.

Czuł, jak pomiędzy niemi jęło powstawać coś tajemniczo trzeciego, coś nowego, obcego, coś co raczej z niego samego zionęło, z niego, z każdej jego komórki, z każdego włókna, które wszystkie nią przesycone były.

Uśmiechał się z tych urojeń, ale pomieszanie jego wzrastało. Przez nią stał się zupełnie inny, wszystko co nią nie było, stało mu się obcem, nieciekawem, odstręczającem.

Nie mógł się przekonać, aby się zwierzyć przyjacielowi.

Każda chwila stawała się nieznośniejszą. To coś obcego stało między nimi, rosło, potężniało z każdą chwilą, rozpychało ich brutalnie w nieskończoność rosnącymi ramionami...

Poszedł...

Na dworze po gorącym dniu padał deszcz. Bezmyślny, melancholijny deszcz. Z nieubłaganą zajadłością smagał ziemię długimi brudnymi sznurami, roztapiał ulicę w błoto, — nietyko ulicę, gorzej: duszę... znękane obrzydzenie, beznadziejny wstręt. —

O Boże!

Straszne było, gdy go tęsknota za nią napadła. Sto razy to gorsze niż wszystkie tęsknoty całego jego życia za tą wielką miłością, której szukał, ale wówczas jeszcze nie znał...

Teraz wszakże, gdy nieustannie czuł ją wokół siebie, gdy jej uśmiech wświecał mu się w żyły, jej spojrzenie całowało jego źrenice...

Nocami tarzał się w gorączce. Szał rozpierał mu serce. Czuł, jak mu do krtani rosło z dzikiem strachu uczuciem, jak mu w skroniach pulsowało, jak krzyczało i wyło za nią rozpacznie... Wyskakiwał z łóżka, ręce latały

mu w błędnym niepokoju, ciało drgało, głowa płonęła: o porwać ją i całą wieczność mieć przy sobie.

Rzecz była niewątpliwa. Musiał się zabrać do pracy. Musiał wziąć się do swego wielkiego dzieła, które miało dotrzeć do ostatnich celów sztuki, rozwiązać ostatnie zagadki bytu przez stopienie dwóch istot w jedno kosmiczne Ja—Ty.

Całe dzieło jego było właściwie jeno tem Ja—Ty. Nią jedną, bo z niej powstała jego moc, z niej lały się powodzie siły i wspaniałość.

Ale ile razy siadł do pracy, zdawało mu się, że ktoś go z tyłu chwyta i przemocą od niej odciąga.

Nie mógł myśli zebrać, i mimowoli zatapiał się w szczęściu, które z nią przeżył. Każdą chwilę, którą z nią ongi był spędził, jeszcze raz odczuwał — odtwarzał w duszy dźwięk jej słowa, kochał je, pieścił i całował, a potem brał jej listy i czytał — czytał...

»A gdy będę z tobą razem, nie chcę widzieć ni światła ni słońca, tylko Ciebie, Ciebie jednego. Nie chcę znać żadnego dźwięku, jeno słuchać Twojego głosu, jak drga i szemrze, jak w serce mi się wcałowuje. Niech będę biedną nędzarką, niech głodna i obszarpana chodzę po świecie, przy Tobie, byle z Tobą, byle przy Tobie.«

Jął list gorąco całować.

Naraz posmutniał.

Wziął drugi list do ręki.

„Jakiś Ty smutny, jak zrozpaczony! Listy Twoje ból mi sprawiają, serce mi szarpią. Przeczuwałam, że się tak stanie. Więc to na razie niemożliwem, bym do Ciebie przyjechać mogła. Ale nie martw się. Jesteśmy młodzi, możemy czekać...«

I czytał, czytał i smutniał coraz więcej.

I znowu wpełzał w każde słowo, i znowu nicował je na wszystkie strony, wsłuchiwał się w ich brzmienie, powtarzał sobie słowa po cichu, starał się wyobrazić sobie, czy byłby w stanie napisać podobne słowa ukochanemu człowiekowi.

I znowu powtarzał sobie słowa po cichu, i zwolna rosło zwątpienie i niewiara w miłość, co tak rozsądnie umiała czekać i z losem się godzić.

I coraz głębiej pogrążał się w myślach, co mu duszę przegryzały, bolały i raniły go, aż wreszcie trawiony niepokojem począł obiegać maleńki pokój długie godziny...

Padł wreszcie wyczerpany na łóżko.

Teraz czuł się spokojnym.

Jechał do niej i ona do niego. Mieli się spotkać w małem miasteczku nad morzem. Był szczęśliwy, tylko się niepokoił, czemby mógł zabić kilka godzin, aż ona nadjedzie, bo miała przybyć parę godzin później.

A okręt wlókł się powoli, i coraz wolniej. Gdyby się rzucił w morze, toby z pewnością szybciej do brzegu przypłynął.

Siedział na pokładzie w salonie i patrzał na morze i na niebo.

Kochał nieskończenie białe noce północnego nieba.

Naraz czuł jak niebo obwisło, czuł je tak blisko siebie, mógłby je rękoma pochwycić.

I z wzrastającem zdziwieniem ujrzał jak krwawoczerwone kształty na niebie wyrastać poczęły, dziwne jakieś kształty, coś jakby jakiś czarowny krajobraz, to znowu wyspa, ależ nie: to było olbrzymie miasto.

Widział dokładnie pałace, mury i stołpy, wysmukłe miniarety wystrzeliwały wieżyczkami w niebo, słyszał odgłos dzwonów, gdyby jakąś daleką kołysankę...

A wszystko do czerwieni rozpalone, z niebieskawym połyskiem damasceńskiej stali, po za tem wyłoniła się łąka z podartych strzępów mgieł porannych, a w dalekiej głębi sterczał ponad wszystkiem czarny wał lasu.

Naraz zapłonęły wszystkie szczyty płomykami złota, dachy pałaców paliły się w strumieniach złota, złociły się szerokim szlakiem mury i wieże obronne, las oblamował się drobnym skrawkiem złota, złotem rozkwitła łąka, i wszystko to złoto zaczęło nabierać życia, lać się, wznosić i opadać na przemian, pochłonęło purpurę, wcinało się ognistymi klinami w ciemny błękit i czerń, miasto się rozwiało, łąka wczołgała się w las, przerażona potopem złota, las odczepił się od ziemi i rozpłynął się niebieskawym obłokiem na niebie.

I wszystko złoto, co miasto i łąki i lasy stopiło, wchłonęło niebo w swe czeluści, wzniosło się w górę, rozciągało się, kurczyło, tworzyło pierścienie i ogniwa, aż od wschodu do zachodu rozciągnął się płomienny łańcuch, co objął całe niebo, olbrzymi złoty łańcuch z wielkimi ametystami i miliardem dzikich dyamentów...

Obudził się, myśli jego były błędne, głowa ciężyła mu kamieniem. Powstał i patrzał długo przez okno. Kasztany słaniały się w wściekłem rżeniu burzy, obłoki pryskały, to znowu skłębiały się w chmurne bałwany, a naraz gdyby struga lepkiego złota spadła pierwsza błyskawica...

Nie słyszał grzmotu, nie widział błyskawic, myślał tylko o jej skarbach, o jej łańcuchach, wysadzonych perłami i ametystami.

I przypomniał sobie, jak mu pokazywała swoje klejnoty. To przecież niezmierne bogactwo, za to mogliby żyć spokojnie cały rok.

Dziwna rzecz, że już dawniej o tem nie pomyślał.

Ale nie chciał o tem myśleć. Lepiej zmarnieć, jak żądać od niej, by sprzedała to, co tak ukochała. A zresztą na co by się to zdało? Te parę miesięcy przeleciałyby, jakby z bicza trzasł, a potem — potem?

»Wszelką ofiarę spełnię dla ciebie, niema niczego na świecie, czegobym

dla ciebie nie poświęciła. Zażądaj, a będzie dla mnie szczęściem i najwyższą rozkoszą, moją duszę, moje wszystko dać Tobie«...

Słyszał naraz te słowa, słowa miłości w ów wieczór, kiedy mu swój szatański skarb pokazywała.

A równocześnie zaśmiał się szatan wątpienia i niewiary:

— Spróbuj więc — zobacz, czy jej miłość jest dość silną, by ponieść dla ciebie tę maleńką ofiarę, teraz, właśnie teraz, kiedy jesteś słabym i bezsilnym...

Wściekał się na szatana!

Ale zwolna zrozumiał, że nie on cierpi i walczy, tylko jakieś głębokie przeczucie w nim. A nuż nie jest w stanie poświęcić swych klejnotów. A nuż tak je kocha, że z niemi rozstać się nie może!

Dygotał jak we febrze. Przed jego oczyma tańczył złoty łańcuch, ametysty śmiały się w niebieskich mgłach, a dyamenty sypały iskry ognia.

I widział, jak idzie ku niemu, tak błogo i cicho, jak noc, gdy pole znachodzi.

Jej włosy skrzyły się blaskiem tysiąca długich złotych igieł z wielkimi dyamentowymi łepkami. Właściwie nie widział włosów, tylko jedną siatkę dyamentów.

I szła ku niemu, coraz bliżej, stała tuż przy jego łóżku, ale słowa nie przemówiła.

Zerwał się gwałtownie.

Czego chcesz? zajęknął.

Siadła z cichym uśmiechem na krawędzi jego łóżka, przechyliła się nad nim, oddech jej obezwładniał go, i czuł w strasznem przerażeniu, że ciało jego krzepnie, lodowacieje, a członki kostnieją.

I widzi, jak wyciąga jedną szpilkę po drugiej, trzyma je długo pod światło, obraca je i podnosi i cieszy się ich blaskiem.

A naraz gwałtownem pchnięciem przekłuła mu szpilką rękę. Wstrząsł się z bólu, chciał krzyknąć, ale ból zadusił krzyk.

I coraz wyciągała szpilki z swych włosów, trzymała je pod światło, cieszyla się ich blaskiem i wpychała mu je w piersi, w ramiona, w krtań, w serce...

Rozszalały się jej ręce, z gwałtowną szybkością chwytała szpilki, przebijała jego ciało, kłuła, sztyletowała, krew wytryskiwała w cieniutkich promieniach, plamiła ciało, oczy słupem mu stanęły w nieludzkiej męce, a przez jego śmiertelne rzężenie wykrzykiwało jej dzikie szyderstwo: Tu masz moje złoto — tu masz moje dyamenty!

Ochłonął — stał w środku pokoju i drżał:

— Te sny do obłędu prowadzą, szeptał do siebie.

— Spróbujże, spróbuj, szydził szatan. Nie śmiesz? Chcesz wierzyć na

ślepo, bo się obawiasz, że nie sprzeda głupich klejnotów, by się z tobą połączyć? Ha, ha... czy pomnisz, co jej mówiłeś w ów wieczór?

Mam ci powtórzyć? Nigdy nie wierzyłem w miłość, teraz wiem po raz pierwszy, że niema ofiary, którejbyś nie zdołała dla mnie ponieść! Pamiętasz? Niechże sprzeda swój skarb! Rzuć ofiarne pieniądze w błoto, ale będziesz przynajmniej wiedział, czy tak cię kocha, jak chcesz być kochanym.

Tak się jeszcze nigdy nie męczył.

Siadł przy oknie. Burza przebrzmiała. Ponad lasem kasztanów rozbiła tęcza swój potężny łuk, a w mglistych oparach dymiącej ziemi widział białe kwiecie, co wonią swoją głuszyło jego ból i spływało w serce rozkoszą zapomnienia.

I znowu widział, jak idzie ku niemu. Z mglistych dali poprzez jasne morze. Główka jej promieniła błogiem szczęściem. Śmiała się jak dziecko i szła wolno jak dziecko, co wielki ciężar dźwiga.

Leżał w piasku na brzegu i śmiał się, całem sercem śmiał się. I ona się śmiała. Bawiło ją to, że zaledwie ujść mogła, tak ją ciężar niesiony we fartuszku do ziemi stłoczył.

Wybiegł jej na przeciw, ale już była u brzegu, i pełną ręką zaczęła wyrzucać klejnoty z swej sukni. I rozpaliło się złoto i drogie kamienie w gorących żarach na piasku.

Padła mu na szyję.

Patrz mój królu! To wszystko twoje! Ale pozwól tylko, że przy tobie zostanę. I abyś nigdy odemnie nie odszedł i mnie nie opuścił. Aby dusze nasze w tęsknocie się nie trawiły.

I przytulała się do niego i płakała łzami szczęścia.

A tuż ujrzał się w szerokim płaszczu, podbitym gronostajami, olbrzymie złote łańcuchy zwieszały się na jego piersi, a na jego głowie spoczywała złota korona królewska.

Padła przed nim na kolana, drżąca pokorna, a w obliczu niezliczonego tłumu włożył jej koronę królowej na jasną główkę.

A w tej samej chwili, rozdźwiękło wesele, jakgdyby morze ziemię poślubić miało, rozbrzmiały dzwony, zarykły armaty, a naród rzucił się w proch i wielbił potężną, dumną parę królewską.

Teraz już nie walczył.

Trzeba tylko jeszcze zawstydzić szatana, żeby nigdy więcej nie odważył się wychylić swej potwornej głowy.

I drżącą ręką narzucił parę słów na papier.

»Nie czekaj dłużej jednej chwili. Sprzedaj twoje klejnoty. A to starczy na kilka pierwszych miesięcy. Zyskamy na czasie. Przy tobie będę pracował, przy tobie i razem z tobą jestem silny i jestem w stanie do każdej pracy, ale na razie niema innego wyjścia. Jeźli mnie kochasz, uczyń to. Spiesz

się, bo inaczej zmarnieję. Nie mogę dłużej znieść tej tęsknoty i bólu, nie mogę czekać dłużej«.

I długo w majestatycznej pewności i spokoju patrzał przez okno.

Dzień przebrzmiał, smutny zmrok rozlał się na niebie, a wierzchołki kasztanów złocił ostatni odblask stygnącego słońca.

Dnie przeszły.

Wreszcie otrzymał od niej list.

Nie śmiał go przeczytać. Trząsł się, jak we febrze, a przed jego oczyma tańczyły przedmioty w dzikich podrygach.

Opanował się w końcu i rozerwał kopertę.

»Mój jedyny! Rada twoja zupełnie nierozsądna. Musisz być bardzo zrozpaczonym, jeżeli czepiasz się tak niemądrych planów. I cóż to nam pomoże?«....

Nie czytał dalej.

Począł się śmiać długim kurczowym śmiechem.

Szatan tryumfował.

Wpatrzył się w posowę, aż noc ciężkiemi snami zapadła na jego duszę...

Widział jak brylantowa szpilka wyrastała w widmo, dwoma olbrzymimi dyamentami lśniły oczy i kłuły go ostrymi promieniami ognia, zęby były z twardego złota i szczękotały martwym dźwiękiem, metalowe ramiona objęły go żelaznym uściskiem, że wszystkie kości mu zatrzeszczały, a piersi opasał złoty łańcuch, co głęboko w ciało mu się wżerał.

Krzyczał w niebo strasznym głosem, ale niebo patrzało na niego zimnym połyskiem metalu, obsypane drogimi kamieniami, a obłoki przesuwały się po niem jak kulisy z czerwonej blachy ukute.

Wszystko było ze złota i kosztownego metalu. Oczy jego zaślepły orkanem blasku i zwróciły się ku duszy, ogłuchł od szczękotania złocistych blach, a w ustach uczuł kwaśny smak, jak gdyby długo lizał metalowe płyty.

W strasznej rozpaczy chciał się w ziemię zagrzebać, ale ciało jego darło się od ostrych kamieni kosztownych, krew z jego ran skrzepła na płytach metalowych i zamieniła się w gryzącą truciznę, słońce rozpaliło złomy drogiego kruszcu, że buchał żarem ognia.

A w śmiertelnym strachu owładnęła nim obłąkana chciwość za więcej złota i więcej jeszcze skarbów. Zapragnął, by ramionami swemi mógł objąć cały świat, i wszystkie jego skarby z jego łona wygrzebać. Zapragnął, by mógł się rozciągnąć na tysiące mil, by te olbrzymie bryły drogiego kamienia mógł ciałem swem pokryć, zapragnął, by mógł się stać jednym potężnym łańcuchem złotonośnych gór, by na wszystkie wieki mógł w łonie swojem to wszystko ukryć...

Potrwało długo, zaczem przyszedł do siebie.

Zapadł w głęboką apatyę, w długie a błędne rozmyślania bez myśli, bez bólu, bez wspomnień.

Aż wreszcie jednego dnia uczuł ową siłę, i twórczą potęgę, co korzeniami swemi tkwi w bólu.

Kasztany przekwitły, i zblakły zielone liście, strawione żarem parnego lata.

Uczuł spokój i ciszę w swej duszy i zapragnął przemówić do niej ostatnie swe słowo:

Byłaś mojem największem szczęściem i moim najpiękniejszym snem przez długie lata.

Teraz cię zapomniałem, ale wciąż od nowa rozpłomienia się ma dusza do nowej potęgi szczęściem, które mi dałaś.

Nie kocham cię więcej, ale kocham ból wspomnień mego najpiękniejszego snu.

Jestem ci wdzięczny.

Mam dosyć nagromadzonych cierpień, by módz tworzyć. A jadę daleko za morze.

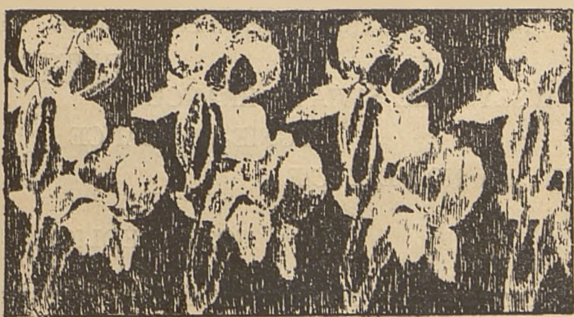
Bo jest jedna chwila na morzu, kiedy piękno i siła i szczęście człowieka obejmuje.

Kiedy przed wschodem słońca, noc i zmrok walczą w zaciętych zapasach, kiedy na niebie Jakób z Aniołami walkę rozpoczyna, kiedy niebo pęka i szeroką szczeliną leje potoki światła na morze, wtedy odczuwa się wielki ból — ból, który jest szczęściem.

Bądź zdrowa. Raz jeszcze chciałbym cię widzieć, ale wtedy dopiero, kiedy to wielkie szczęście spłynie na mą duszę.

A spłynie — spłynie...

Stanisław Przybyszewski.



KRZYK.

LUDZKOŚĆ, POJONA ŁZAMI — PODLI SIĘ I TCHÓRZY
PRZED ŚWITEM... BO PRZED ŚWITEM WIEJĄ ZIMNE DRESZCZE
PORANKU... SPOKÓJ WIEDZIE SEN I GROBÓW CISZĘ,
CO W MARTWOCIE NA WIECZNOŚĆ USYPIA, KOŁYSZE...
HEJ BURZY!
HURAGANU! NIECH ZMIECIE TROSK WIZYE ZŁOWIESZCZE!
NIECH W RAMIONA POWIETRZNE POCHWYCI JAK W KLESZCZE
GNUŚNĄ LUDZKOŚĆ I W GWIEZDNE ZAGARNIE ODMĘTY!
TAM CEL — W SŁONECZNYM BOJU, W JASNEJ ZÓRZ
[DZIEDZINIE!
NIECH SIĘ KRZEPI ZMARTWIAŁA LUDZKOŚĆ — LUB NIECH
[GINIE!
PŁAZ TYLKO GNIE SIĘ PRZED SIŁĄ OFIARNIE...
PRZEKLĘTY!
CHCĘ WALK, OŚLEPIAJĄCYCH BŁYSKAWIC I GRZMOTÓW
I ŻYCIA, ŻYCIA!
CHCĘ BURZ, CO WYRWĄ LUDZKOŚĆ Z LAOKOŃSKICH
[SPLOTÓW,
NIECH MŁODĄ TWARZ UKAŻE SŁOŃCU,
JAK DZIECKO WYSZŁE Z POWICIA...
CHCĘ ORKANU! NIECH WSTRZĄŚNIE TEN OBRAZ BEZ-
[WIETRZNY
I ROZESZLE PO WSZYSTKIE ŚWIATA KRAŃCE
OGNIE-WYSŁAŃCE
NA BÓJ, NA ŚWIT, NA NOWE ŻYCIE!...

JÓZEF JEDLICZ.

List lwowski.

Lwów, 20 grudnia 1898.

Snać pod nieszczęśliwą gwiazdą przyszła na świat boży myśl wydawania pamiątkowych albumów. Album poświęcone J. I. Kraszewskiemu zrobiło kompletne fiasco: spory tom, przeszło pół setki stron liczący, ujrzał światło dzienne, ale nie zdołał wyjść poza próg półek księgarskich — i wydawnictwo skończyło się poważnym deficytem. Teraz znów bieda z wydaniem Albumu ku czci A. Mickiewicza, uchwalonem przez wiec ogólno-akademicki w październiku z. r.: pieniądze są (uzyskana ze składek kwota 203 złr. 25 ct. i subwencya fundacyi ś. p. I. B. Towarnickiego w kwocie 200 złr.) ale niestety nie ma materyału. A raczej nie ma komitetu redakcyjnego. To znaczy nominalnie jest, tylko śpi snem sprawiedliwego. Komitet wybrany w marcu b. r. zrezygnował z tego zaszczytu — a co teraz? Głucho i cicho.

Czyby nie było wskazanem przypomnieć ludziom, że u schyłku w. XIX zebrał się w stołecznem mieście Lwowie pewien wiec ogólno-akademicki i uchwalił w punkcie 3 swoich rezolucyj wydanie albumu? Bo to się zapomina tak łatwo i boimy się, aby z czasem i sam komitet, (który jest, jeśli jest) nie zapomniał przypadkowo o owej uchwale wiecu. Wprawdzie zachęcano i nawoływano młodzież do gorącego zajęcia się tą sprawą, ale trzeba pamiętać, że miało to miejsce na szpaltach „Czasopisma akademickiego“, które z braku abonentów, z deficytem stu kilkudziesięciu złr. zakończyło krótki swój żywot. Żaden dziennik z pewnością nie odmówi komitetowi gościny w swych łamach, a mamy obecnie pismo akademickie, które dziwnym zbiegiem okoliczności staje się wśród młodzieży poczytnem. Więc raźnie do dzieła.

A chciałbym także zwrócić uwagę, by zbytnio nie liczono na owe seminaryjne prace akademickie, obiecane przez pp. profesorów, a zwrócono się raczej z gorętszą zachętą do ogółu młodzieży pracującej umysłowo. Czyż nam wiecznie będzie niezbędna *„sanctio magistri“* i czyż komitet, składający się z ludzi wykształconych fachowo w różnych kierunkach tak mało sobie ufa?

Ale prawda! W ostatnich czasach gorąco było w „Czytelni akad.“ i nie było czasu na zaprzątanie myśli takiemi drobnostkami — jak „Album“. Toć wybory!

Wybory! Ta jedyna błogosławiona chwila, kiedy „porządni akademicy“ zaczynają trochę myśleć nie o sobie, a raczej nietylko o sobie, kiedy oczy rzucają przytłumione błyski, a gorączka zapału barwi policzki. Ta chwila, w której zwykle tak naiwnie zgodni i dobrodusznie jednomyślni członkowie „Czytelni akad.“, uczuwając na sobie straszną odpowiedzialność

i powagę godności „wyborców“, zapalają się i odważają mieć odmienne zdanie, niż kolega X lub Y.

A więc agitacya i kontragitacya na całej linii — mowy, programy, stronnictwa: wydziału, polityczne, społeczne, literackie, opozycyonistów gwoli opozycyi, białych kołnierzyków i czystych paznokci — sympatycznych fizyognomii. Wszystko „jak na prawdę — *wie es im Buche steht*“.

Zapomniano o jednej drobnostce, maleńkiej drobnostce. Są obozy, jest amunicya, są mowy i programy: wszystko dobrze... tylko niema kandydatów na prezesa.

„Czytelnia akad.“ pożywia się od kilku lat wyborczym gwałtem. I to tak w biały dzień, w obliczu profesorów i policyi...

Do przeszłości należą te czasy, kiedy poważni kandydaci stawali naprzeciw siebie oko w oko wobec walnego zgromadzenia do boju wyborczego; do tradycyi czasy, kiedyto godność prezesa była największym zaszczytem i marzeniem każdego akademika. Ci, którzyby mogli z pożytkiem dla wspólnej sprawy piastować tę godność, cofają się z braku... odwagi — i niema kandydatów. Tak było zeszłego roku, ta sama historya powtórzyła się i obecnie. Znów wybór prezesa, który mimo swych zasług około „Czytelni“, i zalet, i zaufania, godność tę przyjął jedynie zniewolony „koniecznością dziejową“. Znów gwałt.

Ale walne zgromadzenie pełne zadowolenia i radości, że znalazło kogoś, na czyje barki może złożyć cały ciężar obowiązków przewodnika młodzieży i całą odpowiedzialność za własną abstynencyę we wspólnych sprawach akademickich.

O! hola! Nie tak prędko... Prezesura „nie jest rzeczą łatwą ani małą“.

A program polityczny?

Cóż z tego, że jest tylko jeden kandydat, cóż, że jakiekolwiek będzie jego „credo“, muszą się niem zadowolić, cóż?... tradycyi musi się stać zadość. Zaczyna się więc najpoważniejsza, najuroczystsza chwila obrad walnego zgromadzenia: zda się, wszyscy czekają, kiedy ów potężny mocarz przemawiający z katedry rzuci hasło, „które ma w przyszłości wstrząsnąć posadami społeczeństwa, utworzyć z towarzystwa ognisko duchów, skądby wychodziły olbrzymy“.

A potem gromadnie na komers, ze spokojnemi sumieniami, że spełniono obywatelski obowiązek.

A jednak ta „Czytelnia akad.“ taka „droga, kochana głowa“. Takie drogie, kochane głowy te wszystkie stowarzyszenia młodzieży, w których akademik skorzysta więcej przez jeden rok, niż z wykładów w ciągu całych studyów akademickich. To prawdziwe, nasze, niesfałszowane *„Almae matres“*...

Młodzieży! jakaś ty wspaniała i potężna, kiedy idziesz razem... tak, ramię do ramienia... naprzód... w słońce!

Ramię do ramienia!

A przecież...

„Zgubiliśmy młodzież — i nie ma jej. Społeczeństwo nasze nie ma młodzieży. Przynajmniej u nas we Lwowie.“

Społeczeństwo zgubiło młodzież — tak... a raczej: młodzież gubi się sama na każdym kroku.

Mamy młodych ludzi. Mamy tysiące akademików, zapisanych na Uniwersytet — mamy socyalistów, ludowców, konserwatystów i neokonserwatystów — mamy „Czytelnię akademicką“, „Zjednoczenie“, „Ognisko“, „Hromadę“ — setki kółek i kółeczek, „Klub szermierzy“ i „Koło cyklistów“... ale brak nam — młodzieży.

Młodzież? co młodzież?... Toż to abstrakcya!

A przecież nie mamy młodzieży, przynajmniej u nas we Lwowie.

Bo proszę. Lwowska „Czytelnia akad.“ w ostatniem swojem sprawozdaniu z roku adm. 1897/8 chlubi się nader przyjaznymi stosunkami z pp. profesorami, jako „wzorem stosunków między młodzieżą, a jej duchowymi przewodnikami“, z towarzystwami akademickiemi w Czerniowcach, Wiedniu i Grazu, Karlsruhe, Zurychu, Antwerpii, Rydze, Halli etc. etc. Lwowskie „Zjednoczenie“ pozostaje w serdecznych stosunkach z „Philomatią“ w Halli, „Czytelnią polską“ w Karlsruhe etc. Ale jaka jest łączność między lwowską „Czytelnią akad.“ a lwowskiem „Zjednoczeniem“?

No, pewnie, pewnie. Wzajemne porozumiewanie się nad sprawami wspólno-akademickiemi, wspólna akcya w wprowadzaniu w życie projektów, obchodzących nietylko ogół młodzieży, ale mających na celu dobro całego społeczeństwa, no i t. d. — tak... ale o tem niestety nie znalazłem żadnej wzmianki w tegorocznych sprawozdaniach. A były tam natomiast jakieś secesye, protesty... Więc cała łączność pomiędzy temi dwoma lwowskiemi stowarzyszeniami akademickiej młodzieży polega na tem, że i „Czytelnia akad.“ i „Zjednoczenie“ utrzymują przyjazne i serdeczne stosunki z „Philomatią“ w Halli lub „Czytelnią Polską“ w Karlsruhe? *Difficile est satiram non scribere.*

Kiedy „Czytelnia akad.“ utworzyła „Koło akad.“, Towarzystwa szkoły ludowej, „Zjednoczenie“ zachowało się zupełnie obojętnie. Zrodzona zaś w łonie „Zjednoczenia“ prawdziwie postępowa i piękna myśl popularyzowania wiedzy przez „Uniwersytet ludowy“, nie znalazła ani jednego oddźwięku w „Czytelni akad.“, ani jednej wzmianki w jej sprawozdaniu.

A więc młodzież, ta młodzież opiewana przez poetów i tym podobnych idealistów, której serce płonie wiecznie jasnym żarem dla

wszystkiego, co jasne i dobre, ta młodzież już teraz u wejścia w życie społeczne zdolna jest dla jakichś partyjnych lub małodusznych konkurencyjnych względów wyrzec się, a może nawet przeciwdziałać zabiegom około wspólnego dobra?

I tak nasze społeczeństwo rozpada się na dwa skrajne stronnictwa: 20-letnich i 40-letnich, mamy tracić i tę ostatnią moc, jaką daje liczba?

Nie! niema, niema we Lwowie młodzieży.

Ale my się zgubimy przez to ciągłe rozdrabianie naszych sił, razem z naszymi ideałami i dążeniami! A co dalej? co potem?

A! prawda. Zapomniałem o przyjaznych stosunkach „Czytelni akad.“ i „Zjednoczenia“ z „Philomatią“ w Halli i „Czytelnią polską“ w Karlsruhe.

Czy to nie piękne? Tak. Tylko jaka dla nas z tego korzyść? Dwa listy rocznie, jeden telegram gratulacyjny co 25 lat i... No, zawsze, zawsze to ładnie, jeśli się może wydrukować w Sprawozdaniu: „Łączyły nas przyjazne i serdeczne stosunki z....“

We Lwowie mamy dwa Towarzystwa akademickie, które działając odrębnie, targają daremnie swe siły w walce z zacofaniem i zabobonem, a wspólnie idąc ławą, mogłyby z czasem z posad bryłę świata ruszyć. A one przecież stoją obok siebie jak dwa zazdrosne, nieprzyjacielskie obozy.

I mamyż młodzież?

Gdzież owa jedność młodzieży niedawnych jeszcze czasów, która społeczeństwu każe się liczyć ze sobą, która pierwsza wciela każdą myśl postępową i pierwsza niesie pochodnię wielkich idei?

W nrze 8 lwowskiego „Czasopisma akad.“ z r. 1895 pojawił się artykuł kol. Z. Pazdry, a dziwno i smutno, że przeszedł bez wrażenia i bez echa. Nawet bez dyskusyi. Autor owego artykułu p. t. „Pod jeden sztandar“, zwraca uwagę młodzieży na szkodliwość separatyzmu i samolubstwa pojedynczych towarzystw akademickich, i radzi dla uniknięcia podobnych kolizyi łączyć towarzystwa o celach wspólnych lub podobnych *w związki* podobnie jak istnieją związki sokole, zaliczkowe etc...

„Czyby tu w kraju nie dało się związać stowarzyszenia akademickie pod jednym sztandarem?“

„Wszystkie te towarzystwa mają jeden cel wspólny: dobro młodzieży, a dalej społeczeństw: pracując zaś tylko dla pewnych kół młodzieży, tracą z oczu *całość* interesów młodzieży. Aby temu zapobiedz, aby tej wspólności interesów młodzieży dać wyraz, aby zaznaczyć, że młodzież to nie technicy, prawnicy, rygorozanci, szermierze — ale że młodzież jest jedna, że młodzież to całość spojona wspólnością młodego ducha, młodych sił, wspólnością ideałów — stwórzmy związek, zdziałajmy, by te małe ognie, co świecą i grzeją dla siebie, stopiły się

MŁODOŚĆ str. 50.

w jedno potężne ognisko, promieniami i ciepłem swem obejmujące wszystkich.

„Związek taki byłby organem stałym, któryby czuwał nad ogółem interesów młodzieży akademickiej i regulował je w duchu jednolitym, któryby dawał inicyatywę wszędzie tam, gdzie usiłowania jednostek nie wystarczają, któryby układał stosunki towarzystw między sobą, nie odbierając im wcale autonomii w zakresie zamierzonego działania".

Czyby ta rzecz nie była warta zastanowienia? A gdyby towarzystwa wypowiedziały swe zdanie o powyższym projekcie?

Może... może odnajdziemy w nas młodzież...

No, ale teraz czasu nie ma na podobne „godzinki". Nieprawdaż? Tego roku taki krótki karnawał!

„Wir wollen von anderen Dingen sprechen, vom Jungfernkranz, von Maskenballen, von Lust und Hochzeitfreude — lalarallala, lalarallala, lalaral — la — la — la —". §.

Głosy prasy o młodzieży.

W warszawskim „Głosie" ukazał się szereg artykułów p. t. „Znużenie moralne", w których autor, dr. Józef Idzikowski, wyjaśnia, na czem polega wina systemu szkolnego, że młodzież dzisiaj „znużona moralnie" opuszcza szkołę. Z pracy tej, która w całości jeszcze nie wyszła i której oceny z tego powodu nie możemy podać, przytaczamy kilka uwag.

„Zdawaćby się mogło, że koleje historyi bez jakiegokolwiek współczucia i uwagi przesuwały się ponad wylewami łez dziecinnych, jak gdyby te mogły być całkiem obce duszy społecznej, lub jak gdyby cierpienie wskutek jakiegoś fatalizmu miało być nieodłączną, składową częścią psychiki dziecięcej".

* * *

„W całym systemie kar, opartych na wpływie psychicznym, szkoła obwarowana jest silnie i niełatwo pozwoli wytrącić sobie z rąk ten oręż. Mowa tu o całym szeregu oddziaływań na społeczne i indywidualne właściwości dziecka, mowa o kaleczeniu jego ambicyi, obrażaniu uczuć rodzinnych, szkalowaniu tradycyi, mąceniu pojęć o tem, co to jest prawda i o tem, co jest piękne i dobre, — mowa o tych wielorakich rodzajach

spojrzeń, giestów, gróźb, wymyślań, które w przepisach szkolnych zowią się skromnie „upomnieniami“, a które w najmniej wybrednem towarzystwie nazwanoby, jeśli już nie brakiem przyzwoitości, to, co najmniej, postępowaniem płaskiem i mało dowcipnem“.

*
*   *

„Jednakowe mundury i czapki sprawiają nieraz zamęt w głowach nauczycieli — do tego stopnia, że ci zapominają zbyt pochopnie o tem, iż powierzone im dzieci nie są podobne do łóżek, do stołów, ani nawet do żołnierzy, zrównanych tożsamością ruchów, lecz są istotami o wielce różnych usposobieniach, temperamencie, zdolnościach, wrażliwości“.

*
*   *

„Dla umysłu dziecka, prawie że obojętnem jest, skąd czerpać ma wzory, z historyi starożytnej Grecyi, czy nowożytnych Niemiec; ważniejszem stokroć jest to, jak wzory te ma przejmować: w świetle prawdy dziejowej, czy w skażeniu przez fałsz tendencyjny“.

*
*   *

„Inną rzeczą jest uznawanie potrzeby nauki religii, inną też — godzenie się z jej wykładem w szkołach. W ostatnich wykład ten, traktowany jako narzędzie umoralniania, staje się jednostronnym, tendencyjnym, przepojonym nienawiścią ku reformatorom religii i myślicielom. A gdy jeszcze nauczyciel zechce chwycić się jakby obowiązku osobistego śledzenia za postępowaniem młodzieży (stosunki towarzyskie, czytanie książek), to religia musi przedstawić się duszy młodej już nie jako nauka o wierze, lecz jako coś przytłaczającego, inkwizytorskiego. Objawy te wynikają, niestety, nietylko z kierunku systemu szkolnego, lecz i z braku wykształcenia samych nauczycieli religii, którzy, nie uznając zgoła nic poza filozofią chrześciańską, nie starają się poznać nowych zdobyczy ducha ludzkiego; gdy zaś te ostatnie przenikają niepostrzeżenie do świeżych umysłów młodzieży, to zasób starych wiadomości nauczycielowi nie wystarcza, by zaniepokojoną młodzież uspokoić: pozostaje wtedy ostatni argument — plwanie i pogarda dla wszystkiego, co wysunęło się o krok naprzód, co ma więcej światła na życie“.

W „Naprzodzie“ spotykamy się z artykułem p. t. „Proletaryat inteligencyi“.

Autor L. B. zwraca uwagę na to, że nędza coraz gwałtowniej wciska się w sferę inteligencyi i ogarnęła olbrzymią większość młodzieży uniwersyteckiej, zmuszając ją do całodziennej pracy po rozmaitych biu-

rach. Po ukończeniu tego rodzaju „studyów“ zamienia się ta młodzież w urzędników, adwokatów lub lekarzy, lecz pozostaje proletaryatem. Stosunki te, „ciągła gonitwa za nędznym zarobkiem, ciągła obawa utraty zajęcia“, degenerują okropnie młodzież: ginie poczucie obywatelstwa, gotowość do pracy i poświęceń — wciska się pochlebstwo, intryga, niska pokora i oglądanie się ciągłe za protekcyą. Społeczeństwo widzi to, słychać sentymentalne biadania, lecz nie zrobiono niczego dla poprawy stosunków. Zdaniem autora środek na to powinna podać historya obecnych ruchów społecznych. Nie chwycono się go jeszcze, młodzież tworzy „proletaryat najgorszego rodzaju, bo nieuświadomiony“. Stosunek pracodawcy i robotnika jest wprawdzie tu mniej wyraźny niż w przemyśle, ale do dojrzenia go powinna dopomódz inteligencya, którą młodzież się szczyci.

Przedewszystkiem, mówi autor, należy uświadomić sobie to, że tworzymy proletaryat, a następnie trzeba przystąpić do pracy nad organizacyą proletaryatu młodzieży uniwersyteckiej. Praca ta byłaby powolną i ciężką, ale też najważniejszą, bo zdołałaby uratować młodzież. Byłaby ważniejszą od dotychczasowych szumnych występów na uniwersytecie, które, zdaniem autora artykułu, prócz huku wytworzyły tylko reakcyę. Wprawdzie nie możnaby wtedy mówić o „reprezentacyi ogółu“, ale to jest frazes, którego nie można urzeczywistnić, a osiągnęłoby się reprezentacyę znacznej większości.

Szczegóły tej organizacyi dziś podać trudno, określi je praktyka. Ze wzrostem będzie musiała oprzeć się o szerszy program polityczny i społeczny, okaże się, „że nawet najsilniejsza organizacya będzie w stanie tylko poprawić zło, a nie usunie go w zupełności.“ Skutkiem tego zetknie się młodzież z życiem społecznem i w ten sposób nabierze społecznej wartości i znaczenia.

Kończy autor tem, że wprowadzenie tej myśli w czyn wywoła bardzo ciężką walkę z całą tradycyą, własną gnuśnością i władzami uniwersyteckiemi. Wobec wątpliwości, czy kto zechce się zatem jej podjąć, będzie prawdopodobnie przez długi czas utopią.

Pisma i książki.

Witold Gozdawa-Godlewski: I jeszcze pieśni!!... Poezye. Serya I. Kraków. Nakładem autora. 1899.

„Z pragnień, z upojeń, ze zwątpień... Całe życie!... W jedno spływają się wszystkie porywy i szumią zawrotną pieśnią przekleństwa z którego powstaną nowe pragnienia, nowe upojenia i nowe zwątpienia, płodne zarody krwawego, czarnego Jutra... To może staje przed nami jeden z tych, którzy nowych bogów nam wskazują... Nie, to na razie tylko ktoś, co gromkim nieociosanym protestem buntuje się przeciw błahości, przeciw mierności rozsiadłej wygodnie i ucieleśnionej w zbiorowej postaci filistra. Ale filister czasem zachowuje się jak pies kopnięty nogą — i w tem tkwi niebezpieczeństwo — łasi się i gotów swego pogromcę dźwignąć na barki swoje tłuste i postawić go tam, gdzie stoją palladya jego szczęścia... Tak — filister, to dusza taka pełna sprzeczności, targana czasem porywami nieokreślonymi, bezcielesnymi, gdy czasem ujrzy coś wrogiego, to uśmiechnie się — od ucha do ucha i zajrzy bezmyślnem okiem w głąb — och, on to umie i znajdzie:

„A jednak wierzę w wielkie szczęście życia
A jednak wierzę!

To dla niego dziwnie nęcący, słodki i gorzkawy osad, którym chciałby się nasycić, chociaż to tylko osad... A to całe morze zwątpień, znaków zapytania i niezrozumiałych wykrzykników, gwałtownych porywów wśród rozpaczy — to niebezpieczne... On lubi rozsądnie unikać

„...tych stworzeń, których Bóg i człowiek
W harmonii miernot, wśród swych błogich krain
— Znosić nie lubią, gdyż im lśni z pod powiek
Chęć wielka walki...

„Harmonia miernot“, — to bardzo dobrze powiedziane — to przynajmniej zapowiedź innych światów. Może już nie usłyszymy więcej o filistrach. Trzeba ich zostawić poza sobą, pod sobą i szukać formy życia tam, gdzie jest życie — Godlewski należy do tych, którzy z zuchwalą butą młodzieńczą chcą burzyć wszystko, co istnieje, chcą wedrzeć się w samo jądro świata i życia i szukać dla siebie nowego pokarmu. Tacy poeci są subjektywni w tem wyższem znaczeniu, bo jaźń ich spływa się z wszechjaźnią, bo odczuwają lęk i ból istnienia wraz z całą „trzodą ludzką“, pchającą się w bezdeń rozpaczy i szału za szczęściem... Ale tem są dziwni, że z całych sił tkwią w tem życiu, chwytają się go oburącz, energia ich nie pozwala im na bujanie w przestworach, są za silni. Godlewski jest jeszcze przytem za krzykliwy: porywa się i rzuca zajadle, w wirze zwątpień, szałów i niespokojnych pytań... „A jednak

wierzy!“ To silne... to bardzo silne. I nagle w tę fanfarę upojeń wpada ostrym zgrzytem preludyum zwątpienia:

„Ty mówisz, że myśmy zbryzgani
Trującym płynem użycia i mętów,
Żeśmy zagrzęźli w poczwarnej otchłani...
Lecz mędrcze dumny, powiedz bez wykrętów
Co nam ukażesz, gdy pójdziem w twe strony?
Czy zaklniesz szczęście w żywot nasz bez szału?
. . . .
Ty milczysz, mędrcze?...
Zostaw nas w spokoju!

Ale w zwątpieniach właśnie wypełza na wierzch to robactwo wszczepione odwiecznym zwyczajem, to najgrubsze i najsubtelniejsze pragnienie szczęścia i wiara w szczęście... Nikną gmachy sięgające swemi podstawami centrów istnienia i wydobywa się na jaw płaska mara szczęścia.

„...pieśnią jego niech będą bóle,
gdyż te są nam dostępne. — Harfy swej szelestem
on, wierzę, was utrzyma w snów o szczęściu kole
i powie nam: — zniknijcie, bo oto ja jestem!“

Chcę jednak wierzyć, że to jest ta wielka litość, która tli w sercach poetów. Tylko, że Godlewski zgrzyta, rzuca się, drażni swoim krzykiem, nie uświadamia sobie, że jest często napuszony, teatralny, że często staje na tej niebezpiecznej granicy, na której to, co wzniosłe... „Upojenia“ np. są miejscami bardzo mdłe, poeta stoi na koturnach, pędzi za własnemi słowami, deklamuje bez tchu, jak kiepski aktor. Ma dużo pospolitych zwrotów i rytmów, które ukazują to tylko, cośmy już tylekroć słyszeli. Chcemy czegoś nowego, chociażby nowej zagadki, rzadkiej, trudnej, twardej, wyszukanej... Ale czasem wznosi się bardzo wysoko, a takie poematy, jak „Kain“, „Niobidzi“, lub „Zbudź się Heloto“ są trwałe, pozostaną i pokryją swoim marmurem rozbrykane okrzyki, które jednak prawdopodobnie także najlepiej odpowiadają osobowości poety. Czem dla takich poetów może być kobieta? U Godlewskiego niema jej prawie wcale; znika w wielkich obszarach myśli i pragnień, jest czasem tylko odległem wspomnieniem, jest czarą upojenia i szału, towarzyszką bolesnych rozkoszy, ucieczką i schroniskiem przed zbyt twardemi zagadkami życia, i jest także wcieleniem ducha, „co z szałem ziemi miłość nieba sprzęga“. Kobieta jest u takich poetów czemś bezosobistem, bo i oni sami są „bezosobiści“, bo i oni sami czują cierpienia nietylko swoje, ale świata całego... bo ich dręczą wielkie pytania, które zasłaniają sobą wszystko. A kiedy i to pójdzie bardziej w głąb i ciszej i boleśniej ujawniać się będzie — wtedy może zamiast krzyku spotkamy się z wspaniałą ironią?... L.

Z życia akademickiego.

Z Wiednia.

»Słówko o naszych stosunkach i naszej młodzieży. Na uniwersytecie, technice, leśnictwie i t. d. uczących się Polaków mnóstwo, giną jednak we wielkiem mieście, jeden o drugim nie wie, łączności żadnej. Są stowarzyszenia, kółka, jest ich nawet sporo, wszystkie jednak mają charakter partykularny.

Do takiego partykularnego znaczenia spadło także, już od wielu lat, jedyne ogólno-akademickie polskie stowarzyszenie, mające za sobą trzydziestokilko-letnią tradycyę — »Ognisko«. Wprawdzie w szczupłych ramach, jakie sobie zakreśliło, utrzymuje się wcale korzystnie i wydobywszy się pod energicznem przewodnictwem kol. Wolframa z materyalnego upadku, rozwinąć się stara obecnie na szerszą skalę, nie jest ono jednak tem ogniskiem, któreby skupiało całe życie umysłowe i towarzyskie młodzieży polskiej w Wiedniu. A tem być powinno. Tu powinienby każdy nowo przybyły, nie obeznany jeszcze z naszymi stosunkami, znaleść pomoc i poradę, tu wstąpićby powinien każdy przejezdny, a przejeżdża ich, zwłaszcza do Niemiec i Szwajcaryi całe mnóstwo, i znaleść odpowiednie, swoje towarzystwo. Obecnie zaś, »Ognisko« położone w jednej z najodleglejszych dzielnic miasta, odwiedzane jest prawie wyłącznie przez słuchaczy Akademii rolniczo-leśnej, inni zaś, jeśli się nawet zapiszą w poczuciu solidarności, to nie uczęszczają tu, gdyż jest im z jednej strony za daleko, z drugiej strony zaś nie mają nadziei spotkania tych, z którymi łączy ich wspólna praca i wspólne interesa. A czego najbardziej brak w »Ognisku« to jakiegoś ruchu umysłowego. Braki te zaspakajają się śpiewaniem wesołych pieśni i piciem dopellitra.

Ten zaś ruch umysłowy wzniecić i rozwijać wzięło sobie za zadanie inne stowarzyszenie: »Kółko literacko-naukowe«. Co tydzień jest tam odczyt; dotąd był o Fryderyku Nietzschem i drugi, mniej udany, o »Polsce« Brandesa; nad każdym zaś odczytem rozwija się dłuższa, ożywiona dyskusya. O kółku tem i o innych kółkach, których jak wspomniałem jest sporo, pomówię innym razem«. T. S.

Z Genewy.

W dniach 24—30 z. m. odbył się w Genewie XII zjazd Zjednoczenia młodzieży polskiej. Na zjazd ten »Młodość« wysłała swego delegata. Szczegółowe sprawozdanie ze zjazdu umieścimy w najbliższym zeszycie.

Z Monachium.

W połowie grudnia z. r. odbył się w Monachium zjazd polskich studentów szkół wyższych.

Z Warszawy.

O uroczystości odsłonięcia pomnika Mickiewicza w Warszawie i zachowaniu się młodzieży, umieścimy korespondencyę w następnym numerze.

Z Bratniej pomocy.

»Komisya informacyjna Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego (Collegium novum) poleca p. t. Publiczności kolegów na guwernerów, korepetytorów, mundantów w obrębie Krakowa i na prowincyi, tudzież medyków do pielęgnowania chorych w Krakowie; prcsi przeto, aby Publiczność w razie zapotrzebowania zwracała się do wymienionej Komisyi, która poręcza, że poleceni przez nią koledzy w zupełności są uzdolnieni do spełniania podjętych na się obowiązków«.

„Zjednoczenie“ krakowskie.

Sprawozdanie krakowskiego »Zjednoczenia« stowarzyszenia kształcącej się młodzieży postępowej, obejmuje trzeci rok istnienia Towarzystwa, od 1 czerwca 1897 r. do 1 czerwca 1898 r. W czasie tym odbyło się w lokalu Towarzystwa 10 odczytów: 1) »Uniwersytet wiedeński«, K. Bicz; 2) »O popularyzacyi wiedzy«, K. Kuć; 3) »Asnyk jako pisarz sceniczny«, K. Konczyński; 4) »Powstanie roku 1831«, K. Konczyński; 5) »Uniwersytety ludowe«. K. Kuć; 6) »O proletaryacie«, K. Kunicki; 7) »Odczytanie dramatu »Sąd« kolegi Konczyńskiego; 8) »O anarchizmie«, K. Kuć; 9) »Oświata ludowa w Finlandyi«, K. Majewski; 10) »Uniwersytety ludowe w Anglii«, K. Kierst. Nadto cztery pogadanki: 1) List otwarty posła Daszyńskiego p. t. »Do moich wyborców«; 2) »Program agrarny partyi radykalnej ruskiej«; 3) »Kwestya żydowska«; 4) Kwestya narodowościowa«. Kółko ekonomiczne »Zjednoczenia« zajmowało się od 8 maja b. r. ankietą robotniczą. Jest to pierwszy krok na drodze praktycznej, pierwszy zarazem akt samoistnej pracy. Ankieta trwająca jeszcze ciągle ma na celu zbadanie warunków pracy i życia krakowskich robotników, pracujących w zawodach t. zw. wykwalifikowanych. Wywiady przeprowadza się z reprezentantami każdego zawodu, przyczem uwzględnia się wszystkie kategorye robotników i warsztatów. Dotychczas przesłuchano przeszło 40 ekspertów i uzyskano kompletny obraz życia w pięciu zawodach (malarze, stolarze, piekarze, szewcy i cholewkarze). Działalność kółka w ubiegłym roku administracyjnym obejmowała pięć miesięcy, t. j. od listopada z. r. do czerwca r. b. z przerwami świątecznemi. Zebrań odbyło się 14. Referatów obszerniejszych wygłoszono 9: 1) »O materyaliźmie dziejowym« — ref. K. Kapellner; 2) »Chłopskie spółki wytwórcze« — ref. K. Kaufmann; 3) W. Sombarta »Socyalizm i ruch socyalny w w. XIX« — ref. K. Kaufmann; 4) »Projekt austryackiej ustawy kartelowej« — ref. K. Baumfeld; 5) A. Lorii »Wirthschaftliche Grundlagen der herrschenden Gesellschaftsordnung« — ref. K. Kapellner; 6) »O programie agrarnym ruskiej partyi radykalnej« — ref. K. Filipowicz; 7) Zenkera »Der Anarchismus« — referent K. Kuć; 8) »Z kwestyi monetarnej« — ref. K. Buzek; 9) »Austryackie koleje państwowe pod względem ekonomicznym i społecznym« — ref. K. Baum-

feld. Nadto wygłosili sprawozdania z czasopism kol.: Bobrowski, Budzyński, Koszutski, Szrejberówna, Weinheber. »Związek medyków« dla braku zainteresowania wśród członków został rozwiązany. »Kółko literackie« przyniosło następujące pogadanki: 1) O konkursie religijnym Tow. Zach. Sztuk Pięknych w Krakowie«, K. Gadzaliński; 2) »O krytyce malarskiej u nas«, tenże; 3) »Konkurs religijny«. »Impresya«, K. Kisielewski; 4) Haibego »Mutter Erde«, kol. Lack; 5) Maeterlincka »Aglavaine et Selysette«, K. Macheles; 6) »Dlaczego dramat w Polsce rozwinął się tak późno?« K. Gadzaliński. »Kółko artystyczne« wydało trzy duże wieczory z programem muzykalno-wokalnym i jeden złożony wyłącznie z produkcyj chóru męskiego i mieszanego. Dochód Towarzystwa wynosił 929 złr. 5 ct., rozchód 929 złr. 5 ct.

W roku zeszłym zawiązał Zarząd »Zjednoczenia« na skutek odezwy paryskiej »Spójni«, komitet mający się zająć zbieraniem składek na cel sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego do kraju. Komitet, uzupełniony staraniem Zarządu »Zjednoczenia«, zdołał zebrać na powyższy cel przeszło 400 złr.

Z Kółka literackiego.

»Kółko literackie« przez kilka posiedzeń omawiało sprawę konkursów i definitywnie otworzyło dla swoich członków konkurs nowelistyczny z terminem do 15 lutego. Na jednem posiedzeniu kol. Kowalikowski podał ocenę broszury Włodzimierza Lewickiego p. t. »Kilka myśli o idei słowiańskiej«, poczem wywiązała się ożywiona dyskusya.

Po ankiecie szkolnej.

W odpowiedzi na artykuł umieszczony w pierwszym numerze »Młodości« p. t. »Po ankiecie szkolnej«, otrzymaliśmy artykuł p. t. »Nie jesteśmy ofiarą!«, podpisany literami P. M. Z artykułu tego nie możemy skorzystać dla jego rozwlekłości. Ograniczymy się na podaniu jego treści bez komentarzy, co będziemy robili z każdym artykułem dyskusyjnym, którego nie umieścimy ze względów literackich.

Autor stwierdziwszy, że dziś młodzież czuje się »karłami ducha«, każe jej »obrachować się z sobą, poznać rdzeń duszy«, zapytać »czem teraz jesteśmy, czem być mamy?« »Kiedy się czuje duszność, ciasnotę, nudę i stąd niepohamowany popęd do wyswobodzenia się z podobnej sytuacyi, wtedy, szukając wytłómaczenia, skąd się to wzięło, nie zważamy na nic, tylko zuchwale potępiamy wszystko, co nas do tego zgniłego stanu doprowadziło. Miłość własna nie pozwala nam przypuszczać, że kto wie, czyśmy może w drobnej choć cząsteczce i sami nie winni?«

Autorowi artykułu »Po ankiecie szkolnej« ma za złe, że »napiętnował wszystko, i otoczenie i wychowanie szkolne, a młodzież pozostawił od współwiny wolną, ją odmalował najjaskrawszemi barwy, jako ofiarę niedojrzałego społeczeństwa«. Pyta, »jakim to prawem można własne niezrozumienie, brak rozeznania i winę zwalić na drugich?«

»Brak idealizmu, dochodzi w konkluzyi abituryent, wynosimy ze szkoły. Czy to prawda? Gdzie i jaka w świecie siła ludzka mocna nam wydrzeć to, co cne i szlachetne, co wyraża najwznioślejsze porywy duszy? Najszczytniejsze wzory, najwspanialsze hymny ducha stoją dla nas otworem. I szkoła nam bynajmniej nic z tego nie skąpi, jednego tylko dać nie może, to tej siły twórczej, która wykuwa z wzorów gmach wielki — to do jednostki należy zdobyć taką siłę!«

Dalej autor zwraca uwagę, że młodzież polska pod zaborem rosyjskim i pruskim, mimo presyi rozwija się, że rozwija się na Śląsku i w Ameryce, przypomina »wśród jakich warunków rozwijali się Filomaci i Filareci«. »A my? jakże nam daleko do takich porywów, tego zapału!«

»Reformę zacząć w pierwszym rzędzie od siebie należy, — więcej pracy, pracy twórczej i wydoskonalenia swego »ja« młodości«.

«Zjednoczenie« lwowskie.

Stowarzyszenie akademickie we Lwowie p. t. »Zjednoczenie« wydało swoim nakładem sprawozdanie ze swoich czynności za czas od 3 grudnia 1897 do 15 października 1898. Na szczególne uwzględnienie zasługuje sprawozdanie komisyi ruchu naukowego. Pomimo, że komisya skarży się na brak zainteresowania się i apatyę swoich członków, dział ten przedstawia się bardzo korzystnie. W Towarzystwie istniało pięć sekcyj: filozoficzna, literacka, ekonomiczna, socyologiczna i ludoznawcza. W sekcyi filozoficznej przerabiano logikę Ludwika Liarda pod kierownictwem prof. Twardowskiego. Sekcya literacka dała trzy odczyty kol. Katzenellenbogena: 1) Główne tendencye literatury skandynawskiej (sprawozdanie z broszury Maryi Hertzfeld pod tymże tytułem; 2) »Mały Eylof« Ibsena; 3) »Znaczenie Ibsena dla ewolucyi współczesnego dramatu«. Na jednem posiedzeniu kol. Katzenellenbogen omawiał przedstawione w teatrze hr. Skarbka dramaty »Tamten« Maskoffa i »Dziką kaczkę« Ibsena. W sekcyi ekonomicznej przerabiano na kilku posiedzeniach wśród żywej dyskusyi Marksa »Kapitał«. Odczytów było cztery: 1) »Kwestya agrarna w Galicyi«, kol. Knopf«; 2) »Analogia między teoryą Marksa a Böhm-Bawerka«, K. Knopf; 3) Geneza pieniądza (referat z dzieła: »Ewolucya pieniędzy«, Zygmunta Pietkiewicza) K. Mełeń; 4) Teorya wartości w oświetleniu »Zarysu ekonomii społecznej« Dra Zofii Daszyńskiej, K. Knopf. W sekcyi socyologicznej ułożono program samokształcenia w naukach społecznych i wygłoszono pięć odczytów: 1) »Kierunki socyologii«, K. Kasperowicz; 2) »Społeczeństwa zwierzęce« (według Espinasa) K. Jerich; 3) »Horda pierwotna«, K. Knopf; 4) »Komuny pierwotne«, K. Dawid; 5) »Wiara pierwotna« (według Spencera), K. Jerich. W sekcyi ludoznawczej prócz odczytu dra Kazimierza Górzyckiego »O potrzebie ludoznawstwa« były następujące referaty: 1) »Apokryfy i ich wpływ na wierzenia ludu ruskiego«, K. Meleń; 2) »Niewola kobiet w ru-

skich pieśniach ludowych« (na podstawie pracy dra Franki). K. Mełeń; 3) »O lewiracie« koleż. Górzycka; 4) »Prawo familijne ludu litewskiego« (na podstawie pracy Jana Witorta), koleż. Lateiner; 5) »O góralach ruskich w Galicyi«, K. Dawid; 6) »O ruskich kolędach«. K. Mełeń. Nadto odbyło się w lokalu Towarzystwa pięć odczytów publicznych. Dochód Towarzystwa w tym czasie wynosił 938 złr. 11 ct., rozchód 913 złr. 66 ct.

Odpowiedzi od Redakcyi.

K. G. w Kijowie. Rzecz szwankuje nawet pod względem niezbędnych prawideł wersyfikacyjnych.

Autorowi sonetów „Gwiazdy", „Prometeusz" etc. »Wszystko to już było«.

X. K. R. Nie możemy korzystać.

Hel... K. w Krakowie. Nie do druku.

J. Żuk. w T. Mimo niezaprzeczone zalety wierszów pańskich — drukować ich nie możemy. Strona myślowa nie wychodzi zupełnie po za ramy pomysłów studenckich.

Jan Bułhak. Tłomaczenie zupełnie poprawne. Ale wobec napływu rzeczy oryginalnych musimy się wyrzec drukowania. Może coś ze swoich własnych utworów zechciałby Pan nam przysłać.

Et czy Eł. Nie skorzystamy. Pisze się »puhar« a nie »puchar«.

Janina Ś-ska. Chociaż szczere ale zbyt słabe. Dziękujemy za pamięć.

Autorowi a zdaje się autorce »Do Młodości«. To jest wierszowanie a nie poezya.

A. L. Chciałbym się mylić, ale otrzymałem wrażenie, że Pan wrodzony zmysł estetyczny i inteligencyę bierze u siebie za talent poetycki. Z drugiej strony przyzna Sz. Pan, że nie można drukować:

»Się utuli obłąkana«

Przecież to nie polsku.

Arielan. Utwory Pańskie noszą w scbie zarodek nie małego nawet poczucia artystycznego, forma jednak nie zadawalnia wymagań nawet najmniej krytycznych.

M. R. w D. Pomysł wystarczyłby może na sonet, a Pan zrobił z niego długi poemat, miejscami ładny i powiewny, miejscami ciężki i naiwnie obrazowany. Talent wierszowania okazuje się bez kwestyi.

Este w Warszawie. Dziękujemy. Skorzystamy o ile Pan pozwoli poczynić małe poprawki, nie zmieniając sensu.

Autorce „Sursum Corda". Ponieważ komitet redakcyjny pomimo przedstawienia kol. R. — wiersza nie zgodził się drukować — kolega „o największem zaufaniu« schował rękopis na pamiątkę.

Panna L. H. w Sosnowcu. »Iris« przyjmujemy z wdzięcznością, prosimy o więcej.

M. Borowski, Lwów. Umieścimy w numerze następnym.

Redaktor odpowiedzialny: **Stanisław Meus.** — Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

Od Redakcyi

Z powodu wakacyj uniwersyteckich Nr. II. wyszedł 9 stycznia.

Nakład I Numeru „Młodości“ w skutek nadspodziewanego napływu prenumeratorów zupełnie wyczerpany.

Numer II w pojedynczej rozprzedaży z powodu prawie dwójnasób powiększonej treści kosztuje 40 ct.

Numer III opuści prasę 4 lutego.



I ROK ≡ ZESZYT II ≡

Cena zeszytu 40

Z Drukarni Narodowej w Krakowie.